

O ETYCE ZAWODU HISTORYKA *

Istnieją teksty tak bardzo szacowne, tak pokryte patyną wieków, że nikt już prawie nie bierze ich dosłownie. Należy do takich tekstów czcigodnych, a spowszedniałych rota naszego ślubowania doktorskiego. Składaliśmy ją wszyscy: kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt lat temu. Bywamy świadkami ślubowania na cudzych promocjach, odbieramy je od naszych uczniów. Znajdujemy się — my, historycy — w o tyle szczęśliwszym położeniu od naszych kolegów z innych gałęzi wiedzy, żeśmy się kiedyś uczyli łaciny i rozumiemy sens owej przysięgi, a przynajmniej powinniśmy ją rozumieć. Ale czy wielu z nas zastanawiało się nad tym, do czegośmy kiedyś się zobowiązywali? Czy o tym zobowiązaniu pamiętamy? Jedni traktują ten akt jako pustą i martwą formułkę; inni widzą w niej dostojną inkantację, która wprowadza nas do kręgu snobującej się elity, osób utytułowanych. Wyrażenie „*nec sordidi lucri causa*” przypominamy sobie chyba tylko dla przekomarzania się z kolegami.

A przecież zobowiązanie się publiczne i uroczyste — *spondeo ac polliceor*, ślubuję i przyrzekam — stwierdzone podpisem, chyba powinno się liczyć. Cóż znaczą owe staroświeckie aluzje do „*impigro labore*”, albo właśnie owe zastrzeżenia: „*nec sordidi lucri causa... nec ad vanam captandam gloriam... sed ut magis veritas propagetur... et lux eius clarius effulgeat*”? Chyba to tylko, żeśmy się zobowiązali powodować się w naszej pracy (jak najbardziej usilnej) nie korzyścią materialną i nie żądzą poklasku, ale dobrem obranej przez nas dyscypliny naukowej.

Ktoś płytko rozumujący powie, że nie dostrzega tu żadnego problemu. Będzie starał się nas uspokoić: Jeżeli będziesz pracował solidnie, otrzymasz awans i wyższą stawkę honorarium, zyskasz pochwałę zwierzchnictwa, szacunek kolegów, uznanie czytelników. Warunki postawione w ślubowaniu zostaną spełnione. Orientujemy się jednak, że nie zawsze tak bywa w życiu. Któż nie wie, że istnieją tematy, na których łatwiej zarobić niż na innych: istnieje sposób pisania, który zapewnia większą poczytność: istnieją poglądy lepiej lub gorzej widziane w tych kołach, od których zależy kariera. Trafiają się więc kolizje między interesem materialnym albo też interesem kariery, a dobrem nauki — w naszym przypadku historycznej. Nie mam zaś na myśli przypadków skrajnych i oczywiście gorszących: utalentowanych pisarzy uprawiających systematycznie chałturę; lub innych, którzy cynicznie zaprzędali swą wiedzę złej sprawie. Nie, myślę tu o codziennych, życiowych sytuacjach, w których może się znaleźć każdy z nas, starszy czy młodszy. Potrzeba zaokrąglenia szczupłego budżetu; myśl o uplasowaniu w druku książki, czy rozprawy; wzgląd na możliwość zagranicznego stypendium; na szybszą

* Odczyt wygłoszony na plenarnym posiedzeniu Towarzystwa Miłośników Historii w Warszawie 20 III 1974.

i bezkolizyjną habilitację; chęć dogodzenia naszym przełożonym (albo przeciwnie, zyskania popularności na fali opozycyjnych nastrojów) — te i podobne czynniki nieraz wpływały na nasze decyzje, gdy szło o wybór tematu pracy naukowej, na selekcję odtwarzanych faktów, na sposób ich interpretacji. Nie wykluczone, że wpływały niekiedy z uszczerbkiem dla dobra nauki.

Dylemat byłby stosunkowo prosty, gdyby dało się go rozpatrywać w samych tylko barwach czarnych i białych. Są oto historycy grzeszni i są cnotliwi. Jedni piszą książki dla pieniędzy, albo dla kariery; drudzy zaś niczym nie dadzą się odwieść od poszukiwania i głoszenia prawdy: ani potrzebą mamony (etatu, meldunku, mieszkania, telefonu), ani pokusą awansu, ani żądzą popularności. Nie, sprawa nie jest aż tak bardzo prosta — z dwóch mianowicie przyczyn. Naprzód wchodzi więc w grę nieostrość takich pojęć, jak dobro nauki czy prawda historyczna. Piłat pytał się „Co to jest prawda?” — i nie otrzymał, jak wiadomo, odpowiedzi. Istnieje realne niebezpieczeństwo, że stawiając jako naczelne kryterium prawdę historyczną i dobro nauki bronimy w istocie rzeczy — i to per fas et nefas — naszych własnych poglądów i uprzedzeń, naszych (nie koniecznie tylko materialnych) interesów. Bywają sumienia niewyostrzone, bywają stępione — w jaki sposób odróżnić sumienie niezawodne?

Lecz i to jeszcze nie jest sprawą najtrudniejszą. Badacz naukowy — w tym i historyk — nie przestaje być (na szczęście) człowiekiem. Ciężą na nim te same, co i na innych ludziach, obowiązki: w stosunku do bliźniego, do społeczeństwa, w którym żyje, i do całej ludzkości. Te zaś obowiązki mogą się niekiedy krzyżować z dobrem nauki, tak jak chcielibyśmy je pojmować.

Gdy idzie o dobro bliźniego: nie trudno zauważyć, iż historyk zajmuje się ludźmi dawno zmarłymi, którym sądy jego już nic nie zaszkodzą. Dajmy na to, że historyk wieku XX pisze i o ludziach żyjących albo o takich, których dzieci żyją, a którym dobre imię rodziców nie jest obojętne. Ale i w stosunku do osób bardziej odległych w czasie, powinno by obowiązywać coś takiego, jak troska o dobrą cześć. Czyżbym chciał narzucać historykom zasadę „de mortuis nil nisi bene”? Wątpliwa to zasada i w stosunku do wczoraj zmarłych, a cóż dopiero do ludzi z dawnych epok. Ale nie wszystkie wykroczenia i występki naszych przodków mają równą wagę w oczach historyka. Studiując dzieje dawnego obyczaju mamy obowiązek rejestrowania i jasnych, i ciemnych aspektów. W tym przypadku wydobyte ze źródeł fakty jednostkowe: opilstwa, rozwodzenia, brutalności, chciwości, sprzedajności — składają się na jednolite tło i pojedynczo nikomu nie szkodzą. Wszakże i tu warto zwrócić uwagę na jedno. Publiczność lubi czytać o skandalach, zarówno w zakresie seksu, jak malwersacji, jak i nadużycia władzy. Lubi czytać pod tym warunkiem, iż rzecz nie dotyczy nas samych, ale spraw, które się działy dawno lub daleko — najchętniej w domu naszego sąsiada. To wypada nam więc mieć na uwadze: czy pisząc o obyczajności naszych (albo cudzych) przodków nie kładziemy nadmiernego nacisku na ich nieobyczajność: dlatego tylko, że „te rzeczy” nas samych podniecają, a mogą też podniecić czytelników?

Inaczej rzecz się ma, gdy traktujemy o osobistościach wybitnych: w zakresie polityki, gospodarki czy też kultury. Interesują nas one z racji ich publicznej działalności — i w tym zakresie powinniśmy ujawniać

bez skrupułu zarówno blaski, jak cienie. Musimy wiedzieć i powiedzieć, ile brali zagranicznego jurgieltu dygnitarze polscy z okresu rozbiorów; jak wyzyskiwali robotnika poszczególni fabrykanci łódzcy; albo jak znakomici skądinąd uczeni i artyści podstawiali nogę swoim konkurentom. Pozostaje jednakże sfera życia prywatnego owych wybitnych osób. Czy ważne jest dla oceny ich publicznej działalności to, z kim romansowali, albo jakich dopuścili się machlojek — poza sferą własnej aktywności zawodowej? Oczywiście, że jest to ważne, gdyż uzupełnia wizerunek człowieka. Lecz czy na prawdę (jak chcieliby freudyści) jest to najważniejsze? Trudno odpowiedzieć jednoznacznie. Chyba odpowiemy na to w ten sposób, że grzebanie się w życiu prywatnym wielkich ludzi nie powinno się stawać dla nas celem samym w sobie. Miłoścki księcia Józefa, mitomania Edwarda Dembowskiego, słownictwo Piłsudskiego powinny znaleźć miejsce w życiorysach tych wybitnych ludzi. Natomiast osobne studia nad czyimiś miłośkami czy też nad koszarowym stylem wypowiedzi traktowałbym jako pogoń za tanią sensacją. Zaledwie też muszę wspominać w tym fachowym gronie, iż poglądy na to, co dozwolone, a co zdrożne, zmieniały się w ciągu wieków. Bywały miejsca i czasy, gdy branie pensji z obcej ambasady uważano za rzecz przyjętą, a stosunki homoseksualne za haniebne. Byłoby metodycznym błędem, gdybyśmy czyjekolwiek dzisiejsze poglądy w jednej i drugiej sprawie przerzucali na przykład w wiek XVIII. Stanisław Tarnowski pisząc monografię Zygmunta Krasieńskiego nie wymienił nazwiska ani nawet imienia pani Bobrowej, ponieważ owa dama wówczas jeszcze żyła, a w końcu ubiegłego wieku romanse mężatek w środowisku arystokracji uchodziły za rzecz gorszącą. Dziś, zdaje mi się, uchodzić przestały — ale to nie znaczy, abyśmy mieli rację oceniając owe romanse prababek ze stanowiska dzisiejszego permissive society (społeczeństwa przyzwolenia). Reprezentuję, być może, punkt widzenia staroświecki, ale zdaje mi się, że jakiś element dyskrecji wobec prywatnych grzechów osób, o których przypadkiem udało nam się dowiedzieć, obowiązuje nas jednak. Dyskrecji, jak rozumiem, nie tyle *in re*, co *in modo* — w sposobie przedstawienia.

Zagadnieniem znacznie poważniejszym jest pogodzenie naszych obowiązków, jako badaczy przeszłości, z obowiązkami Polaka — czy, mówiąc ściślej, obywatela Polski Ludowej. Formułując bowiem nasze sądy o historii własnego narodu podlegamy presji podwójnej. Z jednej strony opinia publiczna stara się nam narzucić punkt widzenia typowy dla kibica meczu międzynarodowego. Oto Polacy stanowią sumę wszystkich doskonałości. We wszystkim, co kiedykolwiek czynili, mieli zawsze słuszność, a ilekroć ich co złego spotkało, winni byli temu wyłącznie niedobrzy sąsiedzi. Zaś z drugiej strony każdy historyk liczyć się musi ze swoim mecenasem, tym, który finansuje jego studia. Mecenas ów życzy sobie, aby powstające pod jego opieką dzieło naukowe miało określony wydźwięk: aby służyło chwale mecenasa lub aktualnym celom jego polityki — przynajmniej zaś, aby z tymi celami nie kolidowało. W zamierzonych czasach był takim mecenasem monarcha, Kościół, potężny feudal. W czasach burżuazyjnych autor musiał się liczyć z władzą państwową, z opinią przeważającą w środowisku naukowym, z zaleceniami lub sugestiami wpływowych instytucji lub osób, od których zależało dopuszczenie autora do materiałów źródłowych, albo sfinansowanie druku jego książki. Pracowałem jako historyk przed wojną, ogłosiłem

trzy książki przed 1939 rokiem — i przy każdej z nich miałem do czytania z różnymi formami nacisków. Nie jest to więc zjawisko zrodzone w dzisiejszych czasach. Dziś mesenas jest jeden jedyny, tym samym wszechpotężny, lecz nie jest on już osobą, tylko zespołem instytucji niemalże bezosobowych. Czy dobrze to, czy źle, to inna sprawa — ale mecenas nasz obserwuje przeważną część naszych poczynań ściśle naukowych z dość odległego dystansu.

Zniekształciłem oczywiście rzeczywistość, mówiąc o nacisku opinii publicznej czy też o nacisku mecenasów, jako o siłach wpływających z zewnątrz na doskonale obojętnego i neutralnego historyka. Nikt z nas, badaczy, nie jest doskonale obojętny; presje, którym ulegamy, działają też wewnątrz nas samych — i tym skuteczniej, że mniej dostrzegalnie. Każdy z nas ma w sobie coś z owego kibica meczu międzynarodowego, skłonного patrzeć przez palce na faule własnej drużyny. Każdy z nas ma zrozumienie dla interesów naszego państwa, naszego społeczeństwa; każdy chciałby, ażeby jego praca naukowa służyła narodowi i polskiej racji stanu. Trudno zaś, aby postawa taka, naturalna i godna uznania, nie zabarwiała naszych poglądów na przeszłość. Co więcej, każdy z nas ma swoje osobiste przekonania, wierzenia i poglądy, które wyniósł ze swego rodzinnego środowiska, albo do których doszedł wśród zmieniających kolei życia. Zaś owe przekonania i poglądy — to również rodzaj filtru, przez które przesącza się strumień naszej wiedzy o przeszłości.

Powie ktoś, że za dawnych czasów bywali historycy od nikogo niezależni. Prawda to, że Edward Raczyński czy Aleksander Przeździecki sami finansowali własne poczynania edytorskie, nie potrzebując oglądać się na czytelników. Lelewel żył jak abnegat, ponieważ nie chciał od nikogo się uzależnić. Szymon Askenazy był człowiekiem zamożnym, a zarazem poczytnym pisarzem, który mógł wypowiadać się bez oglądania się na niczyje dyrektywy. W bliższych nam czasach Hipolit Grynwaser szedł pod prąd opinii naukowego środowiska, opłacając własne badania nad kwestią agrarną ze swych dochodów adwokackich. Nikt z nas jednak nie będzie twierdził, że Raczyński, Lelewel, Askenazy czy też Grynwaser — uczeni, których zasługi w pełni doceniamy — byli w badaniach swych wzorami obiektywizmu. Każdy z nich reprezentował odmienną koncepcję historiozoficzną, tak czy inaczej uwarunkowaną klasowo, a ślady tych koncepcji łatwo nam dostrzec w ich pracach naukowych.

Oto więc główny dylemat historyka. Powinien on w badaniach swych dociekać prawdy, ale wciąż narażony jest na to, że będzie tę prawdę zniekształcał czy to pod wpływem własnych przekonań i przesądów, czy pod wpływem zewnętrznych oddziaływań. Czy nie ma wyjścia z tego dylematu? Czy pozostaje nam już tylko cyniczne dopasowywanie naszych tez naukowych do tego, co poczytne, popłatne, lub dobrze widziane?

Historyk rozmiłowany w swym zawodzie na tę kapitulację nie pójdzie. Musi być jednak świadomy trudności swej misji, musi być nieustannie czujny na wszystkie okoliczności wewnętrzne i zewnętrzne, które wpływać mogą na proces ustalania i oceniania faktów. Główną zaś jego ostoją będzie ta kardynalna zasada, że najskuteczniejszą obroną słusznej sprawy jest mówienie prawdy; że historyczne fałszerstwa mają krótkie nogi; że nie na wiele się zdaje zatajanie prawd niewygodnych, jeśli i tak jest o nich głośno w świecie; że w miarę, jak się ujawnia

nasza bezstronność w sprawach dla nas najżywotniejszych, wzrasta także nasz autorytet — i w kraju, i za granicą. Zasady tej: że warto jest się trzymać prawdy, powinien bronić historyk wobec swych mocodawców — ale i wobec siebie samego. Jak łatwo bowiem ulega się samozłudzeniom!

I jeszcze jedno: historyk podejmujący tematy ogólne powinien by też pielęgnować w sobie cnotę pokory. Oto bowiem kazano mu występować w roli sędziego, kazano mu oceniać wielkich ludzi minionych pokoleń, wychwalać i potępiać ich czyny, ukazywać, jak pobłdzili, a gdzie zgrzeszyli, tłumaczyć, jak należało postąpić w onym dniu i onego roku. Wszystko to zaś ma głosić narodowi dla jego dobra, nie oglądając się na jego drażliwości i megalomanie, na przekór utartym sądom, bez względu na uświęcone tradycje. Czyż taka misja, pełniona przez czas dłuższy, nie może zawrócić w głowie? Czy kto z nas ma naprawdę tytuł do wyrokowania o losach narodu? Czy my sami w naszym życiu prywatnym i publicznym jesteśmy aż tak odważni, nieskazitelni i przewidyjący? Czy nasze pochwały i nagany ferowane pod adresem przodków nie bywają podyktowane naszymi uprzedzeniami, czy nie są rzutowaniem wstecz aktualnych dzisiaj poglądów? Czy wolno nam narzucać minionym pokoleniom dzisiejsze nasze kryteria postępowania?

Bo zważywszy jeszcze: wychowaliśmy się w większości w środowisku inteligenckim, w połowie XX wieku. Znamy się na historii — i tyle. Mało kto z nas ma jakiegokolwiek doświadczenie w rządzeniu państwem, w rozgrywkach międzynarodowych, w działaniach sztabów wojennych, w prowadzeniu wielkich przedsięwzięciach. Porywamy się zaś na ocenianie monarchów, mężów stanu, wodzów, dyplomatów i managerów, li tylko na podstawie dokumentów. Musimy też odtwarzać z drugiej ręki psychikę i sposób bycia arystokratów, finansistów, chłopów i robotników, nawet jeżeli nigdy nie obracaliśmy się w tych środowiskach. Zadziwiająco, jak niektórzy — najwięksi — spośród historyków umieją pokonywać te trudności, jak umieją się wczuwać w atmosferę badanych środowisk. Ale i wówczas czytelnik, zafascynowany stylem wielkiego mistrza pióra, nie ma pewności, czy ma do czynienia z wiernym obrazem przeszłości, czy też z dziełem sztuki... Tak więc skazani jesteśmy na wydawanie sądów, ale w pełnym poczuciu, że nie są to sądy doskonałe.

Mówię o niebezpieczeństwach czyhających na historyka zaangażowanego. Ale przecież istnieją wcale rozległe dziedziny naszej wiedzy, które przyrównać by można do spokojnej toni, zasłoniętej od wichrów, wolnej od skał podwodnych. Można ograniczać się do ustalania dat i faktów, bez sądów wartościujących. Można układać genealogie, itineraria albo bibliografie. Można spędzić lata nad kilku kodeksami, dla odtworzenia autentycznego brzmienia starodawnego źródła. Można żonglować danymi statystyki, stosując do nich coraz to subtelniejsze metody matematyczne. I można też po prostu unikać drażliwych tematów. Każdy z nas wie, że może pracować spokojnie i arcypożytecznie nad historią dawnych stuleci, że kłopoty zaczynają się dlań w drugiej ćwierci XX wieku, a potem rosną z każdym dziesięcioleciem.

Takie trzymanie się na bocznym torze miewa jednak skutki obosieczne. Nie dlatego, rzecz jasna, aby miało być źle widziane. Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego tudzież Akademia preferują, owszem, historię najnowszą, łatwiej też w tej dziedzinie o doktoranturę, o etat, o nagrodę.

(Wielu studentów III roku rozumuje inaczej, wyobraża sobie mianowicie, że w historii najnowszej można obejść się bez łaciny i bez paleografii...). Ale w końcu nikt nikogo u nas nie zmusza do przekwalifikowania się na historię PRL. Nawet wręcz przeciwnie, władze nasze szczerze się troszczą z powodu zaniedbanego czas jakiś rozwoju naszej mediewistyki i niedostatku młodej kadry w tej dziedzinie. Kłopot leży gdzie indziej: w tym mianowicie, że cofając się daleko w przeszłość nie unikamy bynajmniej zagadnień kontrowersyjnych. Któryś z naszych historyków literatury wyraził się niedawno, że zaczynając od Bożurodzicy każdy polski tekst literacki odnosi się do Polski Ludowej! Cóż dopiero źródła z zakresu historii politycznej i społecznej! Gdy zajmujemy się historią dawnych stosunków Polski z Niemcami albo z Rusią; gdy piszemy o chłopach, o szlachcie, o magnatach; o tolerancji wyznaniowej; o problemie władzy i swobód obywatelskich; o przemysłe rządowym w zestawieniu z inicjatywą prywatną — w nieunikniony sposób, przez sam wybór tematu, przez jego postawienie zajmujemy stanowisko wobec spraw jak najbardziej dziś aktualnych. Nie krytykuję wcale tego faktu; owszem, wydaje mi się, że powojenna historiografia polska dawnych epok słusznie podejmowała tematy aktualne i tym samym dobrze służyła polskiej racji stanu — bez ujmy dla swej wartości naukowej. Chcę tylko przypomnieć, że zaczynając od chrztu Polski, a kończąc na upadku Insurekcji Kościuszkowskiej, nie ma chyba odcinka naszych dziejów przedrozbiorowych, który by nie zawierał aktualnych implikacji. Zatem i mediewista może się znaleźć w kłopotcie, gdy mu ktoś zwróci uwagę, że jakiś jego wywód — chociażby o etnogenezie Słowian — jest w tej chwili mało pożądanym.

A co z historią antyczną? Na parę lat przed wojną Stanisław Łoś ogłosił dowcipną książeczkę pt. *Hellada na przełomie*. Była tam mowa o Atenach po wojnie peloponeskiej. Czytelnicy niemylnie odnaleźli w tej książce satyrę na reżym Sławoja-Składkowskiego. Znalazłyby się może podobne przykłady i w nowszej literaturze.

Wybór tematu, nawet dość odległego, jest zaangażowaniem. Swego rodzaju zaangażowaniem jest też trzymanie się tematów absolutnie nieaktualnych. I jest nim omijanie tematów drażliwych. Istniały w powojennej naszej historiografii różne takie znamienne białe plamy. Szczęśliwie w ostatnich latach zaczęły one zanikać, co bardzo dobrze świadczy: zarówno o autorach, jak i o czynnikach recenzujących ich prace.

Jest jeszcze jeden i to bardzo poważny minus chronienia się na bocznym torze. Kto unika dla ostrożności interesujących tematów, ten przestaje interesować. Może on służyć z wielkim pożytkiem nauce, ale tylko w sposób pośredni służy społeczeństwu. Rzecz można, iż rezonans piarstwa historycznego jest wprost proporcjonalny do kontrowersyjności (a więc i ryzykowności) tematyki. Wcale nie twierdzę, że bardziej popularne są książki o „opozycyjnym” wydźwięku (cokolwiek by się chciało rozumieć pod słowem „opozycyjny”). Budzą echo w opinii publicznej te książki historyczne, z których można wysnuwać wnioski na chwilę bieżącą. Czemu publiczność pasjonuje się historią naszych walk narodowowyzwoleńczych, zwłaszcza zaś powstania listopadowego? Ponieważ ciągnie się tu dawny spór na temat: walka zbrojna czy też praca organizacyjna — temat, jak się okazuje, wciąż jeszcze nie wygasł. Oddziaływać na społeczeństwo można tylko podejmując śmiało szeroką i ciągłą

jeszcze żywą problematykę — a więc podejmując ryzyko. Nie musi to być koniecznie historia polityczna. Na tematy gospodarczo-społeczne albo też modelu kultury można także powiedzieć narodowi niejedną prawdę wstrząsającą.

Sądzę zatem, iż historyk dojrzał, który wyrobił sobie na podstawie gruntownych badań szerszy pogląd na dzieje narodu, pogląd, który dziś jeszcze może mieć znaczenie dla społeczeństwa, powinien z tym poglądem wystąpić — niezależnie od tego, czy się to komu spodoba, czy też nie. Odezwać się powinien nie dla wzbudzenia sensacji i nie dla czystej przekory, ale w imię spełnionego obowiązku. Jednego tylko nie powinien się spodziewać: że jego książka cokolwiek natychmiast odmieni. Przeciwny czytelnik dostrzeże w książce historycznej te fakty i te argumenty, które służą jego apriorycznej tezie i jego przekonaniom. Im dana monografia jest lepiej wyważona w sądach, im staranniej zestawia argumenty za i przeciw, tym częściej autor bywa zaskoczony wnioskami — jakże rozbieżnymi! — które wyprowadzają jego czytelnicy. W szczęśliwszym położeniu jest autor historycznego pamfletu: pamflet jedni ludzie pochwalą, inni potępiają, sytuacja będzie określona. Pamflet bywa potrzebny, jako narzędzie walki w obronie słusznej sprawy, gdy inne środki zawadzą. Ale na ogół pamflet sprawy nie załatwia; wywołuje tylko reakcję, równie odległą od prawdy. Rzeczą historyka zaś jest dochodzić istoty rzeczy, która bywa prawie zawsze złożona. Nie od razu złożoność ta trafia do przekonania świeckiego odbiorcy. Trzeba jednakże ufać, że w skali pokoleń będzie sobie torowała drogę.

Mówiłem dotąd o możliwościach konfliktu pomiędzy zawodowo pojętym interesem nauki a dobrem narodu. W moim przekonaniu, konflikt to tylko pozorny, gdyż rzetelne dążenie do prawdy historycznej narodowi szkodzić nie może. Tu jednak trzeba przypomnieć, czego nas nauczyły lata ostatniej wojny: że interes narodu nie powinien być absolutem, że istnieją wartości nadrzędne. Raz jeszcze odwołam się do naszego ślubowania doktorskiego: mówi ono przecież o dążeniu do prawdy, tak aby coraz mocniej błyszczało jej światło, qua salus humani generis continetur. A więc wartością nadrzędną naszej naukowej korporacji jest dobro rodzaju ludzkiego. Dobro, rzecz jasna, szeroko pojęte, gdyż obejmuje ono w naszym rozumieniu i problem sprawiedliwości społecznej, i solidarności ogólnoludzkiej, i dostrzeganą coraz powszechniej konieczność pokojowego współistnienia. Istnieje takie angielskie powiedzenie: right or wrong, my country. Jeżeli ma ono zobowiązywać mnie do solidaryzowania się z moim narodem niezależnie od tego, czy ma on słuszność, czy nie, to jest to bardzo niebezpieczna zasada — może ona bowiem prowadzić do tolerancji wszelkich możliwych zbrodni, aż do ludobójstwa włącznie. W jakiej mierze odnosi się to do zawodu historyka? Ano, chyba tylko o tyle, że powinien on mieć na uwadze, aby jego twórczość nie przyczyniała się do pogłębiania nienawiści, której i tak jest w świecie aż za dużo.

Spytają Państwo zaraz: a cóż się wtedy stanie z partyjnym traktowaniem tematu, z uwypukleniem walki klas jako głównego motoru dziejów? Odpowiem na to, że ktokolwiek w imię świętego spokoju milczy o znanych sobie zjawiskach krzywdy społecznej, ten może być poczytany za jej współwinowajcę. Toteż historyk piszący o wszelkim wyzysku i niesprawiedliwości powinien pisać z zaangażowaniem. Nie przychodzi mu to na ogół z trudnością. W naszym kraju mamy szczęśliwie rewolu-

cję za sobą. O ucisku pańszczyźnianego chłopca, o wyzysku klasy robotniczej przez kapitalistów możemy pisać spokojnie i kategorycznie; bez rozmyślnego zgaszczania czarnych barw, ale też bez obawy, że nasze wywody na temat krzywdy społecznej w poprzedniej formacji mogą wywołać dzisiaj jakikolwiek ferment.

Inaczej się rzecz ma, gdy piszemy historię stosunków międzynarodowych. Nie wiem, czy w naszym narodzie jest więcej szowinizmu, niż gdzie indziej, nie trudno byłoby też ów szowinizm polski usprawiedliwić. Trwa wśród nas pamięć krzywd dawnych i nie tak dawnych, doznanych od sąsiadów, trwa niechęć do innych nacji, które myśmy z kolei krzywdzili; nękają nas przeróżne frustracje i kompleksy niższości. Stąd ksenofobia tym silniej rozbudzona, im częściej mamy z jakimś narodem do czynienia. Tymczasem byt Europy, a już szczególnie Polski, zależy od pokojowego współistnienia, tym bardziej zaś od wzajemnego zrozumienia w obrębie naszego obozu. Nie ludzę się, by nasza działalność naukowa mogła wiele zmienić w istniejących i nie najbardziej fortunnych nastrojach społeczeństwa. Ale stać nas, historyków, przynajmniej na jedno: aby prace nasze tych niedobrych nastrojów nie rozdmuchiwały. Idzie więc o to, by pisząc o konfliktach minionych stuleci umieć ukazywać racje nie tylko nasze własne, ale i dawnych naszych przeciwników; aby zdobywać się na potępienie nie tylko krzywd nam zadanych, ale i tych, któreśmy zadali innym; ażeby wreszcie nie umacniać w narodzie przekonania o naszej rzekomej „wyższości” nad tym czy innym narodem — owego przekonania, które nas tak obrusza, gdy nas z kolei traktują z góry za granicą. Czy określony w ten sposób obowiązek nie stawia nas raz jeszcze w kolizji z zawodowym naszym sumieniem historyków? Czy powinniśmy rozmyślnie przemilczać, lub przeinaczać fakty historyczne, dlatego że mogłyby zaszkodzić naszym dzisiejszym sojusznikom? I w tym przypadku sędzę, iż szczerowość lepiej służy przyjaźni między narodami aniżeli zakłamanie. Historyka zadaniem jest umieć tak przedstawić dawne konflikty oraz wzajemne krzywdy lat minionych, aby odpowiedzialność za nie nie spadała na żyjące dziś pokolenie.

— To bardzo trudno — powiedzą Państwo może; nie twierdzą jednak wcale, że zachowanie właściwego pionu bywa dla historyka zawsze rzeczą prostą. Szczęśliwy ten, któremu było dane uniknąć w ciągu życia dramatycznego konfliktu: pomiędzy obowiązkiem rzetelności badawczej a głosem własnej namiętności, albo naciskiem okoliczności zewnętrznych. Kogo uwiodła namiętność, tego można tylko żałować. Cóż jednak mamy radzić historykowi, szczególnie młodemu, który uświadamia sobie, że wypada mu coś napisać wbrew własnemu przekonaniu, gdyż inaczej nie osiągnie doktoratu, albo etatu, albo nie zdoła wydrukować książki. Nie wystarczy tu zdrowa, ale spóźniona rada, że trzeba było zawsze starać się uniknąć podobnej sytuacji. W każdym razie byłbym ostatni, który by rzucał na uginającego się pod ciężarem okoliczności — zwłaszcza młodego — kamień potępienia. Ponieważ i mnie zdarzało się stawać przed dylematem: czy mam upierać się przy własnym niepopularnym zdaniu i stawiać sprawę na ostrzu noża, czy też iść na kompromis, dla ratowania istoty rzeczy.

Żywię ogromny szacunek dla osobistości bezkompromisowych — wówczas gdy dostrzegam u nich czystość intencji oraz niezłomną gotowość obrony słusznej sprawy. Lecz nie ośmielałbym się wychwalać bez-

kompromisowości jako jedynie trafnej we wszystkich okolicznościach metody postępowania. Jakże często drapujemy się w szatę obrońców świętości, która to szata osłania nasze wygodnictwo, nasze uprzedzenia, a nawet nasze widzi mi się. Sztuka kompromisu jest sztuką trudną, powiedziałbym nawet: niewdzięczną. Nielicznych skrupulatów przyprawia o wewnętrzną rozterkę; liczniejszych minimalistów ściąga na mielizny oportunistu. A jednak wiedza o posługiwaniu się kompromisem, o granicach jego dopuszczalności — to także ważny rozdział etyki uczonego.

Kompromis — to wyrażenie zgody na mniejsze zło, dla ocalenia wartości wyższego rzędu. Przykład, z którym najczęściej przychodzi się stykać pracownikom nauki, dotyczy cenzury, i to różnego szczebla. Początkującego autora cenzuruje zazwyczaj promotor; częściej już publikującego — redaktor czasopisma albo redaktor wydawnictwa naukowego, a później już dopiero funkcjonariusz Urzędu Kontroli różnych środków masowego przekazu. Bywa, proszę Państwa, że cenzor ma rację — i wtedy dobrze będzie, gdy się damy o tym przekonać, nie bacząc na łatwo urażoną naszą miłość własną. Bywa także, iż cenzor oczywiście nie ma racji, ale rzecz idzie o sprawę tak mało istotną, że uśmiechamy się — otwarcie lub tylko in petto — i machnąwszy ręką godzimy się na wykreślenie kontrowersyjnego zdania albo na wymianę przymiotnika.

Bywa — na szczęście rzadziej — że historyk sam sobie musi postawić pytanie, czy nie powinien zrezygnować z jakiejś wypowiedzi, zmodyfikować tę czy inną intonację, odstąpić słowem od tego, co mu się zdaje całkowitą prawdą. Zawsze wówczas powinien rozważyć: co zyskuje w zamian za takie przemilczenie czy przeinaczenie. Być może, osiąga możliwość ogłoszenia wartościowej rozprawy czy książki, podjęcia dyskusji nad tematem dotąd wymijanym, opublikowania cennego źródła, utrzymania przy życiu pożytecznego bezsprzecznie przedsięwzięcia naukowego. Wówczas jest nad czym się zastanowić — i, być może, roztropnie postąpi ten, kto obierze wówczas mniejsze zło. Lecz jeśli na drugiej szali owego mniejszego zła znajduje się tylko korzyść osobista, albo też fawor zwierchności — wówczas właśnie zachodzi ów casus, iż postępujemy sordidi lucri causa, albo też ad vanam captandam gloriam — tym samym więc łamiemy nasze ślubowanie doktorskie. Rozpatrując to zagadnienie teoretycznie, dodajmy jeszcze dla większej jasności, że gdybyśmy w jakimkolwiek kontekście zamiast zdania naukowego A wypowiedzieli zdanie B — i gdybyśmy byli głęboko przekonani, że ta zamiana nie godzi się z prawdą — wówczas już trudno mówić o mniejszym zle. Gdyż świadome głoszenie fałszu, usprawiedliwane jakimkolwiek okolicznościami, deprawuje nie tylko tego, kto pod fałszem się podpisuje, ale i całe jego otoczenie.

Do powyższego dorzucę jedną tylko obserwację. W pertraktacjach o utrzymanie się przy własnym stanowisku większe szanse mieć będzie zawsze osobnik wartościowy od mniej wartościowego. Myślę: wartościowy moralnie oraz wartościowy zawodowo. O niektórych ludziach wiadomo, że gotowi są pójść na kompromis bardzo daleko idący; z ich zdaniem osobistym mało kto się liczy. Co się zaś tyczy wartości zawodowej: jeżeli się jest potrzebnym z racji swej wiedzy, talentu, pracowitości, deficytowej specjalizacji itd., wówczas o wiele łatwiej bronić się przed naciskami w sprawach merytorycznych. Innymi słowy: od was samych, młodzi przyjaciele, od waszej reputacji zależy w jakiejś mierze — to

prawda, że nie wyłącznie — czy znajdziecie się w sytuacji powodującej kolidzję z sumieniem. Mam w tej chwili na myśli sumienie zawodowe. Pomijam zatem problem reagowania na sprawy, które się rozgrywają poza sferą życia naukowego. Zastanawiam się dziś nad etyką historyka, nie zaś nad etyką obywatela.

W ślad za apostrofą do młodych pójść powinno wezwanie pod adresem starszego pokolenia. Oczywiście, powinno ono dawać przykład — między innymi także, gdy idzie o pion moralny. Mam jednak na myśli także co innego. W rękę każdego z nas, osób na stanowiskach, spoczywa jakaś część władzy, chociażby średniego szczebla. Bywamy recenzentami prac doktorskich i habilitacyjnych, pisujemy recenzje wewnętrzne, zasiadamy w przeróżnych kolegiach i radach naukowych, opiniujących o sprawach personalnych. Raz po raz współdecydujemy o losie naszych własnych albo też cudzych uczniów i młodszych kolegów. Dbajmy o to, aby z naszej przyczyny nie znaleźli się oni w sytuacji konfliktowej. Ów uczeń czy młodszy kolega ma czasem zdanie odmienne od naszego; albo jest śmielszy i bardziej czupurny, zdaje mu się, że powinien bronić publicznie tej czy innej tezy, którą my sami wolimy wymijać. Mamy, zdaje mi się, obowiązek przemawiać tym młodym ludziom do rozsądku. Nie powinniśmy ich łamać i przymuszać. To wcale nie oznacza pobłażania dla słabizny naukowej. Grzeźnościowa, pozytywna opinia o słabej pracy i słabej kandydaturze jest czynem społecznie szkodliwym. Lecz czy nigdy nikomu z nas nie przytrafił się odruch niechęci wobec recenzowanej pracy nietypowej: oryginalnej, naruszającej przyjęte kanony merytoryczne lub metodologiczne. Strzeżmy się takich odruchów niechęci!

Znaczna część tego, co powiedziałem dziś wieczór, dałaby się odnieść do pracowników naukowych każdej specjalności. Tu przynależy również rozległa dziedzina, którą można by zatytułować: Uczony, a biurokracja. Jak ma się odnosić uczony do narzucanych mu przepisów, które wydają mu się absolutnie niewykonalne, a nawet szkodliwe? Z pewnością nie będą go nakłaniał do łamania prawa. Ale czy mam go nakłaniać do wymijania przepisów: np. do planowania pozornego, tj. do wstawiania do planu, gwoili asekuracji, tylko tych pozycji, które już zostały wykonane? Państwo wybaczą, ale tym razem uchylę się od wypowiedzi. Mam na to dobry argument: casus ten nie dotyczy szczególnie historyków.

Historyk zaś ma własny główny obowiązek: wymierzania sprawiedliwości minionemu światu. Ma poczucie własnej ułomności. Wie, iż wszystko, czego się dowiaduje o przeszłości odległej i bliższej, jest tylko ekstraktem ówczesnej rzeczywistości, oglądanym w krzywym zwierciadle uprzedzeń naszych własnych i całego naszego pokolenia. Ale jesteśmy mocno przekonani o tym, że umiemy — że powinniśmy umieć — zmniejszać stopień tej deformacji, innymi słowy — zbliżać się do prawdy. Jesteśmy również przekonani, że to, czego się dowiadujemy o przeszłości — nawet tej odległej — ma również znaczenie dla terażniejszości i przyszłości. Że jest to słowem prawda, in qua salus humani generis continetur.

Z tego zaś podwójnego przeświadczenia: o naszych umiejętnościach, o naszych możliwościach, wypływa obowiązek wobec podjętej misji. Obowiązek trudny, obowiązek szczytny. Na rozwój historiografii polskiej patrzę od lat pięćdziesięciu. Obserwowałem trudności zewnętrzne i wewnętrzne, z jakimi się borykała, obserwowałem także ich przewycięza-

nie. Nie wmawiam sobie i innym, żeśmy wszyscy i zawsze — że ja sam w każdej okoliczności — stanąłem na wysokości zadania. Na ogół jednak pozostaję optymistą. Obowiązku swego historiografia dopełnia. Wierzę, iż pozostanie mu wierna i w następnym pokoleniu.

ОБ ЭТИКЕ ПРОФЕССИИ ИСТОРИКА

В докладе, зачитанном на собрании Общества любителей истории в Варшаве, исходной точкой был латинский текст докторской присяги: содержащееся в нем обязательство работать на благо науки, а не „sordidi lucri causa” либо „ad vanam captandem gloriam”.

Стремясь отобразить истину, историк встречает на своем пути препятствия, которые выступают равно под нажимом извне, как и в связи с его собственными убеждениями. Ему приходится также считаться со своими обязанностями по отношению к ближним, к обществу, ко всему человечеству. Он должен руководствоваться убеждением, что истина является самой успешной защитой каждого правого дела.

В заключение автор рассматривает вопрос допустим ли компромисс в тех случаях, когда нет возможности свободно высказываться; приводит также примеры, когда компромисс равносителен нарушению докторской присяги.